



Mirosław Derecki

ŻYCIE NA ZAMKU

Przez całą zimę i wiosnę 1960 r. zarabiałem na chleb jako malarz pokojowy. Mieliśmy zwartą i sprawną ekipę złożoną ze studentów i absolwentów wyższych uczelni, działającą pod firmą Studenckiej Spółdzielni Pracy. Ale najczęściej - przyznaję z ręką na sercu - robiliśmy fuchę, bo to się najlepiej opłacało. No i pieniądze szły z ręki do ręki, nie trzeba było miesiącami czekać na przelewy i wypłaty; już wtedy młoda biurokracja studencka święciła dojrzałe triumfy... Całym tym zespołem ludzi dowodził Albin Rusiecki, student weterynarii, człowiek o złotym sercu, szerokim gościu, wilnianin z pochodzenia, bibliofil z zamiłowania.

Roboty było pod dostatkiem: na przedpolach Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej powstawała rozległa kolonia domków jednorodzinnych, zwana wówczas w całym mieście - w sposób tyleż dosadny co krzywdzący - „Złodziejówką”. Właściciele płacili i wymagali. Bardziej postępowi tyczyli sobie „pokoje Piaskowskich” - każda ściana w innym kolorze, sufit - czarny; konserwatyści zamawiali „angielskie sufity”, „poczwórne paski”, „wałeczki w drobny rzucik”, dwukolorowe „szablony” w górnych rogach, albo: to wszystko razem, plus łabędzie i krasnoludki, gdy chodziło o pokój dziecinny... Po wzięciu zaliczki szło się uświęconym zwyczajem „pod termometr”, koło Ratusza - miejsce spotkań i giełdę pracy lubelskich malarzy. A stąd, w gronie lekko przychlapanych wapnem znajomych i przyjaciół, do restauracji „Pod Koziółkiem”, do „Baru Tatarskiego” lub „Pod Basztę”.

Z owego pachnącego klejem, rozpuszczalnikami nitro i farbami olejnymi świata pędzli- „ławkowców”, „pierścieniowców” oraz kubłów pełnych rozrobionej kredy, wyrwała mnie ówczesna opiekunka Koła Młodych przy Lubelskim Oddziale ZLP, członek kolegium redakcyjnego „Kameny” - Anna Tatarkiewiczowa.

Gdzieś z końcem zimy pani Anna wręczyła mi niewielki, niedawno wydany tomik zatytułowany „Księga nonsensu” i powiedziała: „Panie Mirku, może by pan z tego przygotował jakiś wieczór literacki w Norze”? (W każdy czwartek odbywały się w klubie przy Krakowskim Przedmieściu 32 tzw. „wieczory przy świecach”, w których udział brali przeważnie młodzi lubelscy autorzy).

„Księga nonsensu” był to cudowny zbiorek pure-nonsensowych Wierszyków twórcy „Alicji w krainie czarów” - Lewisa Carrolla. wierszy i limeryków Edwarda Leara oraz

utrzymanych w podobnej konwencji utworów T. S. Eliota - wybranych i przetłumaczonych przez Andrzeja Nowickiego i Antoniego Marianowicza. Kiedy zacząłem czytać owe „Ballady o Dżamblach”, wiersze o „Paluszkach Okruszka”, „O Dongu co świecący ma nos”, o „Kocie wagonów sypialnych”, przyszło mi do głowy, że można by w oparciu o te teksty stworzyć nie tylko wieczór literacki, ale całe przedstawienie. Spektakl, który odbywałby się na dekoracjach i na podkładzie muzycznym. Taki „Wieczór nonsensu” wymagałby dwojga wykonawców, akompaniatora i scenografa.

Na scenie zgodziła się towarzyszyć mi Majka Zamoyska, studentka romanistyki, z którą jeszcze w 1957 r. występowaliśmy w kabarecie „Sex” w Piwnicy Studenckiej na Starym Mieście. Opracowanie muzyczne wzięł na siebie kończący właśnie prawo Andrzej Żmigrodzki, scenografią - o dziwo! - zainteresował się Włodek Borowski.

Jeden z czołowych przedstawicieli plastycznej Grupy „Zamek” miał już poza sobą okres „taszystowski”, było to także - po powstałych w 1959 r. pulsujących światłem „Artonach”; teraz Włodek myślał o działaniach z pogranicza plastyki i teatru. Może o czymś w rodzaju „sceny plastycznej”. Może - o happeningu. Wiem, że szykował jakiś scenariusz, ale w końcu zarzucił cały ten pomysł.

„Wieczór nonsensu” - mimo iż przygotowywany na chybcika - wypadł zupełnie nieźle, podobały się teksty i sposób interpretacji. Humor angielski święcił triumfy. Nigdy nie zapomnę aplauzu, jaki towarzyszył produkcjom Majki Zamoyskiej, gdy w sposób absolutnie arystokratyczny i w najwyższej mierze wytworny, mówiła limeryki

Był pewien artysta spod Coeten

Z wyrytym na dupie bukietem.

Kształt jego zdumiewał.

Dobór barw - olśniewał

Lecz zapach, niestety, był nie ten.

Widzów było - jak na „wieczór przy świecach” - wyjątkowo dużo. Okazało się później, że Anna Tatarkiewiczowa zareklamowała nasz spektakl w Lubelskim Domu Kultury na Zamku. Po przedstawieniu podeszła do mnie dyrektorka LDK - Irena Szczepowska i zaproponowała... pracę kierownika w organizowanym na Zamku klubie młodzieżowym. Drugim kierownikiem miał być Jerzy Ludwiński. On zajmowałby się w klubie - poza normalnymi obowiązkami - sprawami plastyki, ja - sprawami teatru. Klub „Zamek” miał rozpocząć działalność po wakacjach, od września. Oczywiście, zgodziłem się natychmiast.

Nie był to mój pierwszy kontakt z Lubelskim Domem Kultury. Jeszcze w czasie studiów, w 1957 pracowałem na Zamku przez pewien czas jako instruktor działu pracy z młodzieżą. Razem z Andrzejem Zamorowskim opiekowaliśmy się, grupą chłopców ze

Starego Miasta i działającego przy ul. Grodzkiej Domu Dziecka, chłopakami z rodzaju „trudnych”, którzy przybrali sobie nazwę „Błękitne Pióra”. Było to coś w rodzaju bardzo specyficznego „klubu towarzyskiego”, z pewnymi elementami harcerstwa. Chłopcy chętnie chodzili na wycieczki, pomagali przy organizowaniu „zamkowych” imprez, cieszyli się udziałem w zręcznościowych konkursach. Zależało nam na wypełnieniu im w jakiś sposób wolnego czasu. Byliśmy ze sobą zaprzyjaźnieni, wszyscy „na ty”. I jeszcze przez szereg lat po tym, jak rozstałem się z „Błękitnymi Piórami”, nikt nie miał mnie prawa na Starym Mieście zaczepić. Do dzisiaj wielu tamtejszych mieszkańców, nieznanymi mężczyznami w sile wieku, takich, których wolałbym nie spotkać „sam na sam” w ciemnej uliczce, pozdrawia mnie serdecznie: „Czeeeeść!”

Jako młodzi instruktorzy w rozwijającym dopiero działalność domu kultury, musieliśmy robić wszystko to, czego wymagała konieczność. Na przykład brać udział w organizowanych przez panią Danutę Tramecourt świątecznych „choinkach” dla przedszkolaków: została mi przydzielona rola „Diabła” i latałem jak głupi po korytarzach Zamku w czarnych trykotach, z rogami na głowie, ciągnąc za sobą długi ogon. Andrzej Zamorowski odgrywał „Świętego Mikołaja”, a Roma Piechówna - „Anioła”. Było mi to wszystko łatwiej strawić o tyle, iż miałem już odpowiednią zaprawę: od 1956 r. - gdy Dziadek Mróz został relegowany z polskiej rzeczywistości - Spółdzielnia Studencka organizowała w grudniu „lotne ekipy”: „Święty Mikołaj” plus „Pomocnik Świętego Mikołaja” (ten dźwigał worek z prezentami), które - po uprzednim złożeniu „zamówienia” przez rodziców - chodziły po domach i rozdawały dzieciom prezenty. Niestety, nigdy nie wzniosłem się ponad poziom „Pomocnika”-proletariusza; pastorały, długie brody oraz infuły były dla tych, którzy mieli w spółdzielni „chody”. Teraz więc z rezygnacją pełniłem niewdzięczną rolę złego ducha.

Dom kultury rozpoczął działalność w maju 1956 r. Wprowadził się on na Zamek do adaptowanych pomieszczeń dawnego, istniejącego od początków XIX w. więzienia, razem z Muzeum Lubelskim. zajął lewe skrzydło budowli. Prawe, wraz z Basztą i Kaplicą, pozostawało w gestii Muzeum. Na parterze usytuowano bibliotekę domu kultury. Mieściły się tu także pokoje instruktorów, a później - powstała w 1958 r. - Wojewódzka Poradnia Kulturalno-Oświatowa. Na samym końcu korytarza była siedziba Dyskusyjnego Klubu Filmowego „Zamek”. Na pierwszym piętrze urzędowała dyrekcja i główny księgowy. a także - krótkofalowcy i Miejski Wydział Kultury pod kierownictwem Bolesława Rescha. W obszernej, teatralnej Sali, zwanej - od numeru pomieszczenia - „Dwudziestką”, miał siedzibę amatorski „Nasz Teatr” prowadzony przez Zdzisława Siedleckiego. odbywały się też tutaj próby zespołu Pieśni i Tańca „Lubelskie”. W „Dwunastce” - sali położonej nad brama wejściową do budowli - miał znaleźć w przyszłości pomieszczenie Klub „Zamek”. Drugie

piętro zajmowały sale Ogniska Baletowego, prowadzonego przez Marię Grodzką. Różę Sternik i Zbigniewa Kwiatkowskiego, a nad „Dwunastką” znajdowała się pracownia plastyczna. Pierwsi pracownicy LDK to Grażyna Supryn – sekretarka i instruktorzy: Mirosław Komendecki, Andrzej Mroczkowski, Ryszard Tkaczyk, Tadeusz Klak, Stanisław Werenczuk, Józef Zięba.

Ale przede wszystkim Lubelski Dom Kultury to była „pani Irena”. Nie mówiło się „pani dyrektor”, czy „proszę pani”. Po prostu „pani Ireno”!

Irena Szczepowska - przystojna, wysoka, zawsze prosto trzymająca się, ciemnooka, ciemnowłosa i czarnobrewa, zawiadywała kłębiącym się na Zamku tłumem instruktorów, członków zespołów i bywalców klubowych - iście żelazną ręką. Lubiliśmy ją wszyscy - na Zamku panowała atmosfera rodzinna - i podziwialiśmy. Ale też czuliśmy wobec niej respekt.

Pani Irena potrafiła sobie radzić z najbardziej rozwichrzonymi osobowościami. Przyszła na dyrektora LDK z Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych, lecz umiejętność kierowania ludźmi wyniosła z wojska: jako młoda dziewczyna trafiła do 2 Korpusu, dosłużyła się na Bliskim Wschodzie i we Włoszech stopnia starszego sierżanta, dowodziła plutonem w 317 Kompanii Transportowej, w której służyły kobiety-ochotniczki. 317 i 318 kobiece „kompanie transportowe posiadają piękną kartę bojową: popularne „drajwerki” były doskonałymi i pełnymi poświęcenia kierowcami, prowadziły ogromne ciężarówki po niebezpiecznych frontowych drogach, niejednokrotnie ryzykując życiem.

Irena Szczepowska, wśród wielu innych, miała talent wynajdowania i otaczania opieką ludzi zdolnych. Była przeciwniczką wszelkiej „urawniłowki” i wydawania opinii na podstawie czyichś deklarowanych oświadczeń. Potrafiła swych podopiecznych bronić przed różnymi „ustawiaczami” miejskiego, powiatowego, a także - wojewódzkiego szczebla. Że zaś traktowała swoją pracę i działalność w sposób niekonwencjonalny, musiało się to kiedyś na niej zemścić...

Klub „Zamek” miał być jedną z takich niekonwencjonalnych form pracy domokulturowej. Głównym założeniem było skupienie ambitnej młodzieży studenckiej oraz z wyższych klas licealnych, a także - młodych twórców. „Zamek” kontynuował w jakiś sposób tradycje Klubu Młodej Inteligencji z połowy lat pięćdziesiątych, chociaż w tym przypadku była to działalność wspomagana i ukierunkowywana przez kierownictwo LDK oraz społeczną radę klubu. „Zamek” zapewniał członkom możliwość organizowania wystaw plastycznych, fotograficznych, prezentowania dokonań literackich lub scenicznych, dbał o organizowanie spotkań z najciekawszymi artystami, naukowcami, dziennikarzami, działaczami kulturalnymi, społecznymi i politycznymi z całego kraju. Przede wszystkim zaś kładł nacisk na samodzielność myślenia, na wymianę poglądów, na dyskusję. Ogromna wartość miały tutaj

kulturalno-artystyczne kontakty Jurka Ludwińskiego i jego talenty jako inspiratora twórczych poczynań.

Zachował mi się z okresu pracy w klubie niewielki różowy notesik, a w nim notatki z posiedzenia rady społecznej klubu i plan imprez na grudzień 1961 r.: 1) „Mikołaj” - 6 XII Jeden lub dwa razy (musieliśmy od czasu do czasu użyć sali na tego rodzaju imprezy dziecięce - przyp. M. D.); 2) Wystawa Dłubaka; 3) Wieczór autorski Dłubaka; 4) Wieczór autorski Kornackiego; 5) Wieczór Dodatku Młodoliterackiego „Kameny”; 6) Grotowski; 7) Żabiński; 8) Bizoń; 9) Papierkowski; 10) Mańkowski; 11) Filmy - etiudy PWST; 12) Konstancy Puzyna - pierwsza niedziela grudnia (zadzwoń do Puzyny!!!); 13) Dyskusja o wystawie Dłubaka - pod koniec grudnia; 14) Mikulski - pomiędzy 10 a 17 XII - wieczór autorski; 15) Kwerko - odczyt o architekturze. Łatwo zauważyć, że spotkania z tzw. „interesującymi ludźmi” przeplatały się z imprezami, w których klub opierał się na „siłach własnych”. Na „Zamku” głos mógł - na równych prawach - zabierać każdy, jeśli tylko miał coś do powiedzenia.

Myślę, że o atmosferze, jaka panowała w Klubie „Zamek” decydowała w bardzo dużym stopniu także obecność w radzie społecznej Anny Tatarkiewiczowej.

Krzysztof i Anna Tatarkiewiczowie pojawili się w Lublinie na samym początku lat pięćdziesiątych, kiedy p. Krzysztof, syn autora „Historii filozofii”, prof. Władysława Tatarkiewicza, otrzymał na UMCS stanowisko wykładowcy na Wydziale Matematyczno-Fizyczno-Chemicznym. Anna Tatarkiewiczowa studiowała romanistykę na Uniwersytecie we Lwowie; w 1944 r. jako żołnierz-dziennikarz wojskowej gazety pojawiła się w Lublinie po raz pierwszy. Potem dokończyła studia na Uniwersytecie Warszawskim, wyjechała na stypendium do Paryża, a tam spotkała innego polskiego stypendystę, młodego matematyka, który został jej mężem. Pani Anna zajmowała się teatrem (w połowie lat pięćdziesiątych wydała min. „Teatr krajów zachodniej Europy XIX i początku XX wieku”, Cz. 2 oraz „Teatr francuski od 1789 do 1848 r.”), a poza tym wiele tłumaczyła. Przede wszystkim - z literatury francuskiej. „Wybór pism krytycznych” Saint Baeuve'a, „Obraz Paryża” Merciera, „Pamiętniki” Dumasa, „Julia de Lespinasse” Bouissounousa, „Przygody miłosne Kawalera do Foublas” Louveta de Couvray. „Korynna czyli Włochy” pani de Stael - to tylko niektóre tytuły przekładów, jakie wyszły spod ręki pani Anny w latach jej pobytu w Lublinie.

Tatarkiewiczowie z dwoma synami - Grzesiem i Kubą - oraz rodzicami pani domu zajmowali trzy niewielkie pokoje na parterze tzw. „Nowego Domu Profesora” przy ul. Langiewicza 3, budynku, obok którego wznosi się obecnie wielopiętrowy Hotel Asystenta, zwany powszechnie przez studentów - „Bidulcem”. Było tam wówczas jeszcze cicho, spokojnie i sielsko, a przed oknami nie stał - ani jeden samochód. Jako że pracownicy nauki poruszali się albo pieszo, albo - tak jak Krzysztof Tatarkiewicz - na rowerach. Tatarkiewicz

był zresztą - dzięki swemu staremu rowerowi - postacią znaną na lubelskich ulicach. Codzienne treningi - gdy przelatywał, skrzypiąc łańcuchem, z jednego końca miasta na drugi - potrzebne mu były do utrzymania kondycji: uprawiał wspinaczkę wysokogórską. Kiedyś - pełen najlepszych chęci dostarczenia mi pięknych wrażeń - zaciągnął mnie w Tatrach pod sam szczyt Mnicha. Pod górę jakoś szedłem. Ale kiedy na miejsca spojrzałem w dół, oświadczyłem, że nie zejść, choćby do mnie strzelali. Po kilku godzinach perswazji Tatarkiewicz ściągnął mnie jakoś na bezpieczne miejsce. Od tamtej pory godzę się z tymi wszystkimi, którzy twierdzą, że za precyzyjnością myślenia matematyków, za ich rzeczowością i logicznym rozumowaniem, kryje się szaleństwo...

Anna Tatarkiewiczowa była w „Kamieniu” - gdy ja zacząłem współpracować z pismem - jakby nieformalnym zastępcą redaktora naczelnego. Na łamach dwutygodnika zamieszczała najczęściej recenzje teatralne, a także recenzje-felietony z przedstawień w Teatrze Lalki i Aktora pod stałym nagłówkiem: „Z Kubą na widowni”. Nam, początkującym dziennikarzom, podsuwała wartościowe lektury, podrzucała tematy artykułów lub reportaży, przede wszystkim zaś - skłaniała do myślenia, zachęcała do kierowania się własnymi sędami, i - co może najważniejsze - do otwartości wobec świata. Te same wartości propagowała w Klubie na Zamku.

Wyjazd Tatarkiewiczów, w 1963 r. do Warszawy, był prawdziwą szkodą dla tutejszego ośrodka kulturalnego.

Nie tylko Klub „Zamek”, ale w ogóle cały LDK to była autentyczna „kuźnia kultury”: pewna kulturowa formacja, pewien styl i środowisko, które - po przeniesieniu Wojewódzkiego Domu Kultury w inne miejsce i po odejściu do innej pracy Ireny Szczepowskiej - nie znalazły już kontynuacji.

Tym właśnie stwierdzeniem chciałbym zakończyć publikowany w ciągu całego minionego roku cykl - o „Środowisku lubelskim”